



Po długim niebycie wracamy od razu do rzeczy: dzięki za kasę na druk [Sebastian 30,- Pomier 10,- Malenstwo 5,- Brzydala 50,- Kuba 5,-] i bierzcie się za lekturę. LaBesti@

czym. Wygląda na to, że właśnie totalna atomizacja dusz będzie najczęstszą chorobą psychiczną nadchodzącej nowej ery, a jej prawdziwym rozsądnikiem będą bez wątpienia miejskie molochy, pełniące rolę swoich szamb socjopatycznych. Czy doprowadzi to w konsekwencji do zaniku głównych, dotychczasowych funkcji społecznych, na skutek powszechnej niemożności ich wykonywania w tym stanie - zobaczymy... A jeśli tak się stanie, to czy będzie to (bardzo przyjemny) koniec świata - to już temat nieco w bok i na później. Wracając zaś do stanu duszy, a zwłaszcza ciała samego miasta, nie zaś tylko poszczególnych jego mieszkańców - miasto, im większe, tym silniej okrada ludzi z kosmicznego poczucia więzi. Zaślania zamiejskie tereny łąk, zagajników, może nawet okolicznych jezior, czy też pagórki porośnięte zdziczałymi krzewami i ziołami. Miasto nawet z czasem zagarnia te tereny dla swoich ohydnych przedmieść. Syfilitycznych suburbi i żyjących gorączkowym rytmem przypluwów i odpływów do centrum, ciągłym, nienasyconym pożądaniem bycia centrum, nie dającym się pogodzić z peryferycznością i tymczasowością biedy i slumsów. Równocześnie miasto odcina swoich mieszkańców od resztek tych życiodajnych terenów przyrody podmiejskiej, z której mogliby czerpać ciszę, zielen, głęboki oddech, beztroskie zagubienie na słodkim lonie natury, dmuchawce, latawce, wiatr, czasem także rozrywkę przy niewypałach i niewybuchach. Zamiast tego nasycza dusze ludzkie widokiem morza śmieci podfruwających znad chodników, rzek pędzących śmierdzących hałaśliwych blaszanych puszek - samochodów, i temu podobnych zjawisk. Takie, codzienne widoki tworzą miłą perspektywę i harmonijne tło dla coraz liczniejszych wyglupów samobójców, agresywnych wyczynów subkultur bejzbołowych, czy szczekający krwiożerczych pysków biznes-chamów.

Zastanawiałem się ostatnio, podczas wędrowek po Warszawie, odbywanych dniem i nocą, czy miasto tak duże, jak to, daje chociaż coś w zamian. Gigantycznie spiętrzona materia wieżowców, nocna powódź światel widzianych z ostatniego piętra, wielkomiejska galeria deformacji anatomicznych prezentowanych w podziemnych przejściach - wszystko to ma swój szalony urok, dostępny na pewnym poziomie estetycznej perwersji. Dla mnie jest to impreza nie do pogardzenia. Nawet w takim miejscu kosmos woła nas! Wystarczy tylko choć na moment zerwać z lepką i trywialną życiową krzątaniem mieszczucha - termita. Jak zauważyłem, w roli burzycieli smutnego i wyświechtanego porządku miejskich chodniczków znakomicie sprawdzają się dzieci. Bezkonkurencyjni są w tym ulicznicy. Potrafią oni ze znalezienia byle pęta uczynić prawdziwe misterium smaku pierwszego jaranego za garażem sżługą, zaś w podwórkowych kałużach przeglądają się oczyma Kolumbów i Magellanów. A co pozostaje dorosłym? Dla prawdziwych koneserów są oczywiście fantazyjne smaczki, takie, jak choćby Dworzec Centralny by night, oczywiście mowa o części Biblioteki i NARCIŚCZYN w świetle latarki. Zakładając jednak, że nie wszyscy czytelnicy www.periodyku pogodzą się poświęceniem poty nocnego wypoczynku dla przeprowadzenia niekonwencjonalnych BOJÓZ, pozostane przy mniej snobistycznych pozycjach. W ekologii naukowej, turpie w dziedzinie na rzecz ochrony środowiska, lecz w dyscyplinie będącej częścią biologii, znane jest pojęcie

Mimo coraz lepszego zaopatrzenia, a może właśnie też z jego powodu, coraz bardziej dają się zauważyć braki pewnego artykułu pierwszej potrzeby - spokoju duszy. Wszystko to, co wpływa kojąco, staje się dobrem coraz radszym. Wygląda na to, że nawet niewidzialna ręka rynku jest w tym przypadku pusta i bezsilna. Cóż to za poniżająca i deprymująca sytuacja - u schyłku XX wieku pojawia się towar, na który popyt rośnie w astronomicznym tempie, zaś podaż maleje równie szybko. I to gdzie - właśnie w mieście, w którym znajdują się nieprzeliczone rzesze potencjalnych klientów. No rzesz kurwa mać! - czy nikt nie ma pomysłu na rozwiązanie tego problemu? Przy okazji można ubić całkiem niezły biznesik! Zwłaszcza w mieście pojawiły się dramatycznie deficyty ciszy, odosobnienia, pustej przestrzeni, dających uczucie bycia (o)środkiem kosmosu. Brak perspektywy, widoków, brak panoramy, horyzontu, pozaślanianych coraz wyższymi budynkami. Miejski świat został okradziony z całej swojej magii przez szalonych urbanistów, mnożących kolejne budynki i kolejne piętra w nich. Jeśli ze szczytu najwyższej budowli miasta nie widać jego granic zatopionych w tajemniczym dywanie podmiejskich ogródków, poprzecinanych nitkami gościńców nikiących w bandażach przydrożnych szpalerów lip i bujnych zagajników, to na chuj w mieście w ogóle wysokie budynki? Jeśli widać z ich szczytów tylko inne szczyty, innych wysokich budynków, zaś pomiędzy nimi rozpełzającą się po horyzont

Przedmieście - rodzynek w cieście?

magmę ultraurbanicznego piekła, to miasto traci sens i styl. Nie jest już tym podniecającym pieprzykiem krajobrazu, do którego wyniosłych wież i charakterystycznych budowli ciągną niczym ćmy do lampy: kupieckie karawany, wycieczkowe autobusy kolonistów i wozy wieśniaków pełne wonnej i soczystej żywności. Zamiast być tym pieprzykiem, miasto coraz bardziej staje się wrzodem na dupie planety i naszej psychice. Coraz bardziej brak w nim tego wszystkiego, co jest naturalnym lustrem osobowego ja - swobodnej przestrzeni i panoramy z wysokiej wieży, dających poczucie dystansu i harmonii. Za to na ulicach miasta, w jego wnętrzach mieszkalnych i handlowych, na jego fasadach i frontonach coraz więcej małych lusterek, pokazujących, często skrzywione, drobne wycinki rzeczywistości. Te lustra i lusterka kawałkują coraz mocniej miejską rzeczywistość, odbijając bez końca obraz obrazu obrazu... I taka też staje się mieszczańska psychika - zaczyna ona przypominać porozpieprzaną na wszystkie strony, pospiesznie uciekającą bandę przerażonych, małych, plastikowych skurwieli. Jeszcze do niedawna ludzie, także w miastach, występowali głównie jako polifreniczni aktorzy teatru ich żyć, w których w danym momencie funkcjonowali jako robotnicy, klienci, członkowie rodziny, poborowi, spacerowicze, itd. Teraz, zwłaszcza w dużych miastach, zaczyna przybawać cielesnych pojemników na miliony maleńkich szaleńców, którzy zawiadnęli duszami poszczególnych członków. Ludzie tak zdeintegrowani zaczynają coraz częściej nie wyrabiać z ni-



BIBLIOTEKA NARCIŚCZYN
w Warszawie
www.periodyku.pogoda.pl
BOJÓZ
60998
Poznań 31

4-556/13

KONCEPCJA UMOWY SPOŁECZNEJ A KSZTAŁTOWANIE SIĘ USTROJU STANÓW ZJEDNOCZONYCH AMERYKI PÓŁNOCNEJ

Często przy omawianiu początków Stanów Zjednoczonych pojawia się idea umowy społecznej i udział tej koncepcji w kształtowaniu się na przełomie XVIII i XIX wieku systemu politycznego tego kraju. Celem niniejszej pracy jest przyjrzenie się czy i jakie elementy tej idei pojawiły się i czy zostały zrealizowane przez „Ojców Założycieli”. Z konieczności będę musiał tu odwołać się do porównań z Rzeczpospolitą Obojga Narodów - jedynym krajem gdzie umowa społeczna doczekała się swej pełnej realizacji.

Na wstępie trzeba zaznaczyć, że umową społeczną jako hasłem posługiwali się przedstawiciele różnych frakcji w łonie amerykańskiej „rewolucji”. Dla purytanów miałyby ona stanowić kompromis pomiędzy wolnością i władzą, federaliści (to od silnej władzy federalnej a nie od federacji) dążyli do maksymalnego ograniczenia wolności na rzecz władzy, dla antyfederalistów władza miała ubezpieczać wolność, a wg słów Paine'a: „rząd potrzebny jest tylko do spełnienia kilku funkcji”, z czym zgadzały się uczestnicy ruchu farmerskiego. Już ten podział sygnalizuje, że musiały również zaistnieć różnice w poglądach na realizowanie tej, czy może słuszniej byłoby powiedzieć tych idei. Przede wszystkim daremnie byłoby szukać w pismach „Ojców Założycieli” słowa demokracja, tak wydawałoby się naturalnego w dyskusji nad ustrojem Stanów Zjednoczonych. Często pojawia się republika, mówi się o władzy ludu i większości, ale wyraz demokracja jeśli się pojawia to w znaczeniu pejoratywnym, jako rządy motłochu. Dlaczego? Ano dlatego, że demokracja kojarzyła się Amerykanom z demokracją bezpośrednią, czyli kojarzono ją z Rzeczpospolitą Sarmacką, a nie jak chcieliby dzisiejsi „Europejczycy” z angielskim modelem parlamentarnym. Zresztą cóż dziwnego, przecież to spod władzy W. Brytanii się wyzwolili. Jednak takie rozumienie demokracji było nie do przyjęcia dla elit kolonialnych, które pragnęły władzy. Maksimum tego, na co mogłoby się zgodzić, to to, co nazywamy dziś demokracją przedstawicielską, bowiem -oddając głos jednemu z uczestników konwencji konstytucyjnej Clymerowi- „Reprezentant narodu jest po to, by myślał za swoich wyborców, a nie ze swoimi wyborcami”. Oczywiście brak możliwości kontroli społeczeństwa nad wykonywaniem umowy pozbawił ją praktycznie sensu, gdyż, co dostrzegali niektórzy antyfederaliści (m.in. T. Paine), aby mogła w pełni zaistnieć, zawierający ją muszą mieć możliwość kontroli i korygowania jej realizacji.

Aby uchronić się przed nadużyciami władzy, „Ojcowie” gorąco polecali trójpodział władzy a la Monteskiusz. W rzeczywistości lekarstwo okazało się gorsze od choroby i praktycznie spowodowało totalną bezkarność władzy, która otrzymywała prawo ustanawiania (władza ustawodawcza), egzekwowania (władza wykonawcza) i interpretacji (władza sędziowska)* prawa bez żadnej kontroli ze strony społeczeństwa. Jeden ze zwolenników tego systemu, Thomas Jefferson, gdy zobaczył do czego to prowadzi, ostro wystąpił przeciwko „władzy prawników”, stawianiu sądów ponad społeczeństwem i pozbawieniu ludu prawa do samorządu. Niestety

było to spóźnione opamiętanie. Poza jedną monteskiuszowską „wpadką” można jednak w pracach Jeffersona doszukać się wielu elementów autentycznej umowy społecznej, na czele z jego wizją konstytucji. Powinna ona według niego zawierać cztery elementy składające się na umowę społeczną: * zasady obierania władz * wolności obywatelskie * to, czego rządowi nie wolno * oraz prawo oporu (!).

Choć nie mówi tego wprost, taki model konstytucji mógł zaczerpnąć tylko z pierwszej konstytucji świata - Artykułów Henrykowskich. Zrealizowanie tego projektu byłoby więc prawdziwym zawarciem umowy społecznej, niestety tak się nie stało. Zarówno pierwsza konstytucja z 1781 roku - Artykuły Konfederacji - jak i druga z 1787 roku nie były umowami zawartymi przez społeczeństwo, lecz jednostronnymi aktami narzuconymi przez grupkę „działaczy”*** przy czym ta ostatnia została uchwalona na fali represji po powstaniu drobnych farmerów w Massachusetts przeciw wygórowanym podatkom i procentom od długów - tzw. rebelii Shaysa (rebelii, bo nazwę nadali jej wrogowie) w wyniku sojuszu finansjery północy i plantatorów południa. Konstytucja ta spotkała się z szerokim oporem ze strony ruchu farmerskiego i antyfederalistów, zarzucano jej brak praw obywatelskich (dla jej twórców ważniejsza była własność) oraz zabezpieczenia przeciw nadużyciom władzy. Pomimo jednak licznych sprzeciwów konstytucja została ratyfikowana przez stany, na których władzę wyborcy nie mogli w żaden sposób wpłynąć. Również na konstytucje stanowe możliwość wpływania obywateli była i jest znikoma***.

Federaliści nawet w ramach demokracji przedstawicielskiej starali się maksymalnie zawęzić ilość biorących w niej udział do posiadaczy gruntów i zastosować cenzus majątkowy. Używano tu argumentów, że biedota łatwo da się manipulować bagaczom. Rozwiązanie tego problemu przedstawił jednak Jefferson postulując już w projekcie konstytucji Wirginii rozdać każdemu minimum 50 akrów ziemi, co stanowiłoby swiste zabezpieczenie jego niezależności jako wyborcy. Zabezpieczeniem przeciw wpływom wiel-

kich posiadaczy na wybory miałyby być rozdrobnienie okręgów. Hm, bardzo wątpliwa to metoda i nie przynosząca skutków bez jednoczesnego rozdrobnienia samych posiadaczy.

Sensowne natomiast było zniesienie prawa dziedziczenia ziemi entail tj. niepodzielnie przez jednego spadkobiercę. Miało to zapobiegać kumulacji dóbr w jednym ręku i bardzo przypominało niechęć szlachty polskiej do ordynacji.

Nie zdało się to na nic, gdyż naruszona została podstawa umowy społecznej - to, że obywatele wybierają władzę do reprezentowania ich interesów (vide instrukcje poselskie) a nie, że ona sama tworzy programy, między którymi wyborcy muszą wybierać. Stało się to przed czym ostrzegali Waszyngton i Madison - powstały partie.

Władza Stanów Zjednoczonych pierwsza odkryła korzyści płynące z systemu partyjnego, gdzie można wmanipulować społeczeństwo w rzekomą walkę między kilkoma pozornie różnymi stronnictwami w celu odwrócenia uwagi od idei samorządu i umowy społecznej. W zapomnienie poszły apele Waszyngtona, że rząd należy zawsze kontrolować aby nie działał wbrew interesom społeczeństwa, zastąpiono to naiwną wiarą w programy. James Madison opisując rząd działający „...dzięki kupnym wpływom [...] wprowadzającym w miejsce rozliczeń dary dla faworytów, lub łapówki dla opozycji, podporządkowujący swą działalność chciwości części narodu [...] powołujący armię interesownych stronników, których pióra i języki, intrygi i koterie wspierają zbrojny terror i podtrzymują rzeczywistą dominację nielicznych jednostek pod pozorem zabezpieczenia wolności ogółu” nie zdawał sobie sprawy, że jest prorokiem we własnym domu i opisuje własną ojczyznę, w której władza będzie rządzić konsumpcyjnym społeczeństwem dzięki dopuszczeniu go do przedmiotów zbytku a niepokornych eksterminować dzięki totalitarnym prawom przy pomocy aparatu terroru państwowego.

Nie udało się Amerykanom zawiązać umowy społecznej, przeszkodziła temu zbyt bierność społeczeństwa (oprócz powstań Shysa i pensylwańskiego, tzw. rebelii Whisky), co oddało rzecz całą w ręce elit i pozwoliło im ją zaprzepaścić.

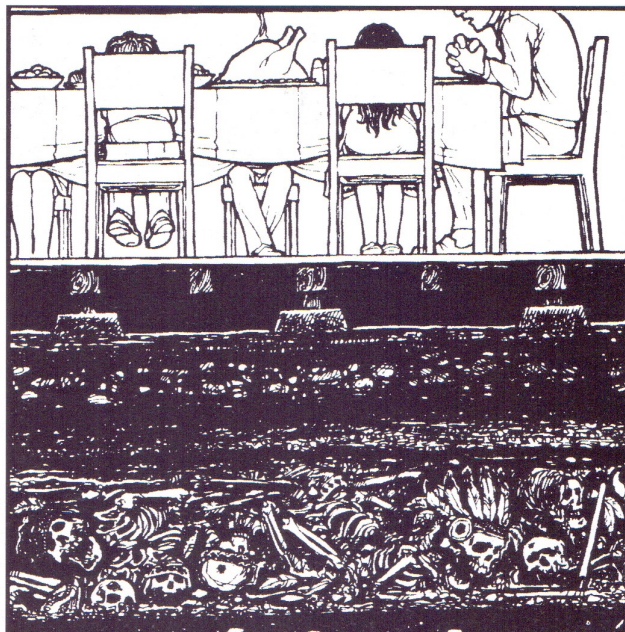
Koncepcja ta jednak, choć nie zrealizowana, wywarła duży wpływ na współczesną opozycję wolnościową w USA, zwłaszcza milicje stanowe, stanowiące dalekie echo zarówno samorządowych koncepcji ruchu farmerskiego, jak i zbrojnych konfederacji dla obrony wolności Sarmatów.

US@rmata

* W późniejszym okresie sądy zdobyły władzę interpretacji nawet w stosunku do konstytucji.

** Pośród 33 uczestników konwencji konstytucyjnej 1787 roku było: 8 kapitalistów, 6 plantatorów, 3 zawodowych polityków, 1 duchowny, 1 nauczyciel, 1 lekarz i 2 ludzi bez zawodu (żyjących z posiadanego majątku).

*** Społeczeństwo nie posiada inicjatywy konstytucyjnej i tylko w niektórych stanach (obecnie jest ich 21) może wnieść w bardzo ograniczonym zakresie poprawki.



kazanie na boże ciało o uwolnieniu pana od boga z religii

Kiedy coś dzieje się po raz pierwszy, jest do wolne, nic tego nie ogranicza (poza adekwatnością do rzeczywistości może). Po raz drugi, trzeci, piąty i dziesiąty, czy setny albo tysięcny już tak nie jest, bo działanie popada w pewną rutynę, tak normalnie się robi, wszyscy tak robią etc. Nie jest już ważna adekwatność do świata, ale do poprzednich działań, przynajmniej tak długo, jak długo jest to plus minus skuteczne. To samo dotyczy poznania - zrazu widzimy na świecie, potem jednak przymierzamy to, co poznawane do zasobu naszych, często odziedziczonych pojęć i poprzednich obserwacji, które żyją w nas w postaci archetypów, definicji itp. W swej najgłębszej istocie są one tym, co chrześcijanie nazywają „świętymi obcowaniem / kościołem żywych i umarłych / obecnością i mocą ducha świętego”, zaś na powierzchni skróconą instrukcją obsługi i tanim chwytem czy też wykrętem. W ten sposób powstaje kultura, pewien zbiór stereotypów mocno osadzonych w [nie] świadomości jednostki i grupy. Świat pojęć i wartości przypisywanych zjawiskom, zdarzeniom i czynnościom staje się dla nas ważniejszy niż one same, wyznacza nasze cele i zasady postępowania. A mimo to ciągle pozostaje możliwość działania [do] wolnego, nie poddanego schematom. Nasza reakcja na kolejne wyzwanie ze strony świata może być bowiem zarówno potwierdzeniem normy, utwierdzeniem reguły, jak i jej przekroczeniem, modyfikacją lub odrzuceniem. I wówczas okazuje się, że normalność nie jest niczym więcej jak tylko dużą częstotliwością, że nie jest żadną poprawnością, słusnością etc. Ba - okazuje się, że cel naszej drogi wcale nim nie był, bo działając w innym kierunku, to ów kierunek czynimy naszym celem [w danym momencie -bo każdy następny może go potwierdzić czy zmienić także- i to on wyznacza sens i cel całej dotychczasowej drogi, skoro doń dzięki niej dotarliśmy, a nie ona sama czy jakieś uprzednie założenia, które ów gest tymczasem przekreślił]. Tylko, że iść po omacku trudno, stwarzać każdy kolejny moment życia od nowa potrafi niewiele. Ludzie wolać więc posiadać odgórnie przyjęte, dane im lub narzucone cele, wartości, reguły postępowania oraz przypisywane im znaczenia. Nie mogą pogodzić się z tym, iż jedynym sensem życia jest ono samo, iż jedynym celem poznania jest właśnie ono, boją się [do] wolności. Ale nie to jest największym problemem. Prawdziwy dramat polega na tym, iż przyjmując jakieś reguły, próbując narzucać je innym, nie dbając o ich adekwatność do sytuacji, innej osoby czy grupy. Reguły bowiem muszą być niepodważalne i wszechobowiązujące, inaczej co im po nich. Przecież to wszystko jedno, czy panuje zupełna wolność, czy tylko dowolność zastosowania i interpretacji przyjętych reguł. Im strach większy, tym większa agresja wyznawcy danych zasad w stosunku do innych [którzy swoim lekceważeniem kontestują je], tym większa potrzeba stałości reguł gry. Idee nie są jednak wieczne, choć takimi mogą jawić się jednostce, ewoluują one wraz z kolejnymi urzeczywistnieniami potwierdzającymi je lub przekraczającymi tak czy inaczej. To samo dotyczy także dogmatów, przykazań itp. [gdzie np. podziało się przykaza-

nie o zakazie obrazów i skąd w dekalogu wzięło się osobne przykazanie o pożądaniu żony bliźniego swego?].

Stożek nieadekwatności i zamknięcia się na życie w różnych stylach gry jest różny. Stosunkowo najbardziej otwarty jest rynek, bowiem mimo swego jednostronnego nastawienia na zysk i konsumpcję musi on być adekwatny do rzeczywistości by być skutecznym. Władza może zawsze nagiąć rzeczywistość do swoich wyobrażeń siłą, choć musi ona być większa niż opór rzeczywistości, a o to niełatwo. Otwartość władzy zależy więc od poczucia bezpieczeństwa rządzących i ich przewagi nad oporem wobec niej. Najbardziej odporna na rzeczywistość i najmniej otwarta jest religia, która w całości skupia się na własnym obrazie świata [i zaświatów] a nie na nim samym. Dla wyznawców religii, szczególnie dogmatycznej, opartej na słowie a nie obrazie czy intuicji, liczy się tylko owe słowo, pismo i jego dosłowna interpretacja. Adekwatność do rzeczywistości jest tu niemal żadna, wszystko co nie pasuje do teorii jest uważane za diabelskie sztuczki etc.

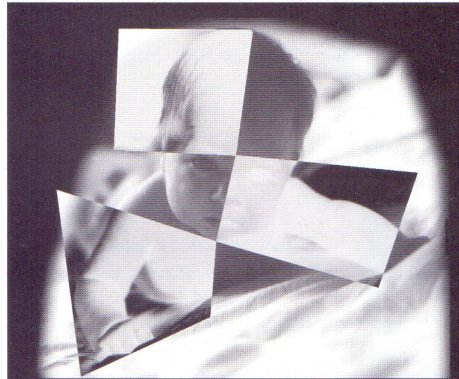
Oczywiście w praktyce każdy z nas żyje własnym życiem, bawi się, istnieje na rynku, w pewnym systemie politycznym, takim czy innym kościele, więc od tego, co komu bardziej robi, zależy, co weźmie górę, co stanie się w danym momencie źródłem reakcji na wyzwania świata. Religia obstawia jednak zawsze swój system wartości przeciw światu, nawet gdyby miało to oznaczać klęskę, bowiem zawsze można to wyinterpretować w jej własnym świetle jako ofiarę dającą zbawienie wieczne, a więc gdzieś poza tym światem. Tylko czy jest coś poza tym światem? Musisz w to wierzyć - odpowiada religia- i to wystarczy [byś poczuł się -choć niekoniecznie był- bezpieczny]. Skąd się to bierze? Życie to ślepy żywioł, który nie dąży w żadnym określonym kierunku, będąc celem samym w sobie. Z punktu widzenia życia jest to w porządku, ale z punktu widzenia świadomości poszczególnych przejawów życia, świadomości, która rodzi się w konflikcie z rzeczywistością, najważniejsza jest nasza rozbita głowa [bowiem kiedy wszystko gra niczego nie zauważamy, dopiero uderzenie głową w mur rodzi pytania, wątpliwości]. Ciężko jej oderwać się od bólu, lęków i pragnień, od danego momentu rzeczywistości, spojrzeć na życie z szerszej perspektywy. Religia mówi o bogu, ale tak naprawdę myśli tylko o naszym „ja” i jego dobrym samopoczuciu [nie darmo chrześcijaństwo jest religią naj-

bardziej personalistyczną]. I z reguły odwraca się od bezbożnego, czyli wrogiego jednostce świata [wszak chrześcijaństwo zrodziło się wśród wykorzenionej ludności miast antycznych, wspólnoty wiejskie zintegrowane ze sobą i ze światem stawiały mu opór, stąd jego wrogów nazywa się poganami, a diabeł i czarownica mają wszelkie cechy ludowych bogów i ich kapłanów]. Ba, chrześcijaństwo -poza nielicznymi mistykami- odcina się i od bezpośredniego doświadczenia boga, chowając go za zamkniętymi carskimi wrotami ikonostasu i dosłownymi interpretacjami słowa o nim. Idzie o to by wygrać. Jeśli nie mamy nic do zaoferowania w rzeczywistości, ani nie możemy jej niczego narzucić siłą, to przynajmniej możemy pocieszyć się w świecie naszej wyobraźni, a jeśli fakty doń nie przystają, tym gorzej dla faktów.

Tymczasem istnieje inne wyjście z sytuacji, jest nim brak przywiązania do ego, utożsamienie się z całym życiem w danym jego przejawie, a nie jego fragmentem, punktem widzenia określonym przez zespół wyobrażeń, celów, lęków i pragnień minionych i przyszłych. Potrzebny jest do tego pewien dystans i maksymalnie zaangażowanie [na raz !], tak by móc ujrzyć dany moment życia jako wyjątkową całość, a nie „nas” rozumianych jako seria schematów dowolnie wypreparowanych z dotychczasowych doświadczeń, nie wiedzieć czemu tych, a nie innych, równie ważnych z jakiegoś punktu widzenia. Pan [bóg] jest bowiem ową całością, a nie czymś spoza niej.

Najzabawniejsze w tej historii jest to, że sformułować pewne myśli pomogła mi najbardziej rozwinięta teologia chrześcijaństwa wschodniego, bardziej otwarta niż zachodnia na bezpośrednie doświadczenie, choć nie umiejąca uwolnić go od dogmatów i historii. Owo bezpośrednie do-

świadczenie bytu, które Huxley nazywa filozofią wieczystą, jest wspólne dla mistyków wschodu i fizyków kwantowych. Chrześcijaństwo zawłaszczyło ją i zmonopolizowało duchowość w naszym kręgu kulturowym, próbując narzucić drugiej stronie ateistyczny materializm, co było może adekwatne w XIX wieku, ale nie dziś. Nie da się też zastosować już straszaka herezji w stosunku do tych, którzy odrzucają ową usurpację i przypisywanie filozofii wieczystej do dosłownego rozumienia swoich mitów [że Chrystus umarł i zmartwychwstał za nas (!) etc.], co przysłało jej elementy zewnętrzne wobec wiecznego tutaj i teraz, odcinające nas od doświadczenia wiecznego życia. aMen+



MALY WŁÓCZĘGA

Mamusi kochana, za zimno w Kościele,
Gdy w karczmie jest cieplej, zdrowiej i weselej.
I nikt się nie boi, że zbyt nabroji,
W Niebie rzecz taka całkiem nie przystoi.

Lecz gdyby w Kościele Piwa nam nalali,
A dusze w kominku byśmy zagrzewali,
Modły nasze i śpiewy trwałyby dzień cały,
Marzenia progów tych nie porzucały.

Dalej Ksiądz by nauczał, pił i śpiewał piosnkę,
By radość nasza była jak ptaszków na wiosnę,
Zaś Paniusia Kwęczka, co wiecznie na klęczkach
Niechętna by dzieci różgą i postem zadrzęczać.

Aż Bóg tak jak ojciec, który się raduje,
Gdy dziecko wesoło jak on sam świętuje,
Znudziłby się sprzeczką i z Diabłem i z Bęczką,
Ucałował go, odział, i spił gorzałeczką.
blake

twz. ekotonu. Jest to, najprościej mówiąc, obszar styku. Chodzi tu o styk pomiędzy dwoma ekosystemami. Obszary ekotonów są bardzo często bogatsze gatunkowo i bardziej różnorodnie od sąsiadujących z nimi „czystych” wewnątrz poszczególnych ekosystemów. Obszarom ekotonów w dziedzinie historii kultury mogłyby odpowiadać burzliwe i ciekawe obszary pograniczne, na których w ciągu wieków spotykały się różnorodne wpływy i prądy cywilizacyjne. W przypadku terenów miejskich, których penetrowanie chcę w tym artykule zarekomendować, odpowiednikiem ekotonów bywają wspomniane już przedmieścia. Rejony starych, położonych peryferyjnie dzielnic poprzemysłowych, zapomniane, podmiejskie dworce kolejowe, śródmiejskie nieużytki, zdziczałe ogródki działkowe, a nade wszystko okolice styku terenów zabudowanych i okolicznych lasów, zarosły nadrzecznych bądź wszelkiego rodzaju jezior, stawów, bajerek, nieczynnych żwirowisk i cegielni - oto prawdziwy raj dla miejskiego globtrottera, spragnionego mocnych i różnorodnych doznań. W takich miejscach zazwyczaj jest więcej roślin i zwierząt, niż w centrach miast, bywają tam także wspaniałe zabytki architektury, zwłaszcza postindustrialnej. Nade wszystko jednak rzuca się w oczy często bardzo duża odludność takich obszarów, mimo ich bliskości względem centrów. Pociągą do za sobą spokój, ciszę i kojący nerwy nastrój menelskiego pikniku pod kępą bzu czarnego. I o to właśnie chodzi. Czas spędzony w takich, przemyślnych okolicznościach przyrody, urozmaicony konsumpcją przygotowanego wcześniej napitku i nabitku (od nabijać - oczywiście faję), na długo pozostaje w pamięci, będąc często jakże szokującym kontrapunktem dla śródmiejskiego blichtru i pogoni za cywilizacją centrum, coraz szybciej pomykającego ku bramom piekła.

aniół z przedmieścia P.S. Zmiana ordynacji wyborczej sprawiła, że w dużych miastach zamiast samorządu będziemy mieli partiokrację AWSLD, więc pewnie nie się szybko na lepsze nie zmieni. Nie dziwi w tej sytuacji obojętność na wybory. Czy oznacza to także obojętność na świat wokół nas, na własne podwórko? [LaBesti@]

60 pytań do Radia MaDiabła

Motto: „Kto pyta nie błądzi chyba że ma garb wielbłądzi”

1. Czy komunię w aerozolu może przyjąć chłop w polu?
2. Czy bóg na gąsienicach brukiew może siać na cycach?
3. Czy straszliwa kara Boża może zmienić gęś w węgorza?
4. Czy potęga Pana może wypieć sznycel z siana?
5. Czy w kościelnym burdelu wytrysk fałszu sięga celu?
6. Czy boska siła nawyku jest emalią do nocników?
7. Czy stalowe wole można zbawić w rosole?
8. Kiedy Bóg się o tym dowie, że go niema śni się krowie?
9. Czy z bożej łaski może powstać talerz płaski?
10. Czy odkrywcy swą goliznę bóg zobaczyć może pizdę?
11. Czy suszona wola boża może dostępną mieć do morza?
12. Czy niezbadane wyroki boże zapadają na traktorze?
13. Czy bóg w Trójcy jedyny wdycha tylko własne bździny?
14. Czy świeża Komunia Święta jest przysmakiem prezydenta?
15. Czy elektroliza miedzi jest możliwa przy spowiedzi?
16. Czy JeHoWa powie mamie, że jest kasza w SuperSamie?
17. Czy poczętych i ochrzczonych żołnierzy można aborcjonować z moździerz?
18. Czy kielbasa bardzo droga może stać się ciałem boga?
19. Czy JeHoWa bez kobiety mistrzem jest autominety?
20. Czy to prawda, że stonoga powstała z nasienia boga?
21. Czy podpaski menstrualne wchłaniać mogą także karmę?
22. Czy JeHoWa w kapuście to potrawa w dobrym guście?
23. Czy spektakl tantryczny psuje geszeft JaHWistyczny?
24. Czy papieskie polucje mogą wskrzesić Świętą Lucję?
25. Czy modlitwy do JeHowy może wznosić wół pizmowy?
26. Czy z wymienia świętej krowy można doić, kwas chlebowy?
27. Czy kozioł ofiarny praktykuje seks oralny?
28. Czy bez pizdy chuj JeHoWy stworzyć może kosmos nowy?
29. Czy w drodze wyjątku można użyć do chrztu wrzasku?
30. Czy dokładne obrzezanie wstrzyma powódź w Pakistanie?
31. Czy nasienie Jahwistyczne jest zbadane wenerycznie?
32. Czy łaska uświęcająca jest pokarmem dla zająca?
33. Czy ognisko boskiej mocy zasila fabrykę kocy?
34. Czy wyższe sfery niebieskie mogą seks uprawiać z pieskiem?
35. Czy transmisję z końca świata w telewizji widział tata?
36. Czy to prawda, że pod lasem Satwa coitus ma z Tamasem?
37. Czy na wielkiej giełdzie bogów można najęść się pizogów?
38. Czy imperatyw moralny Kanta może zmiękczyć wzwód palanta?
39. Czy strzelisty akt wiary można zmienić na suchary?
40. Czy możliwe aby krowa była mądra jak JeHoWa?
41. Czy perfumują księża kondony ze skóry węża?
42. Czy tworczy przewód pokarmowy sławi imię JeHoWy?
43. Czy absolut we własnym sosie jest potrawą dnia w kosmosie?
44. Czy dewocyjne wzruszenie wymaga sromu owłosienie?
45. Czy niepokalane poczęcie może pływać na okręcie?
46. Czy dążenie do nirwany to powrót do łona mamy?
47. Czy zbawienie ludzkiej duszy jest możliwe podczas suszy?
48. Czy na widok boskiej dupy wstają z grobów kościotrupy?
49. Czy na głos kapłana bóg zbrandzluje dziś cygana?
50. Czy dążenie do zbawienia może przybrać kształt wymienia?
51. Czy w rajskim ogrodzie bóg przeliczył wszy w swej brodzie?
52. Czy w nirwanie zapewnione mamy spanie?
53. Czy możliwa jest przemiana boga w skórę od banana?
54. Czy nasz zapal soteryczny spowodował skórcz maciczny?
55. Czy najświętsze boskie matki piorą swoim synom gatki?
56. Czy w Szeolu jest wielu Krolów?
57. Czy umysł kosmiczny tworzy spektakl oniryczny?
58. Czy w samsarze dobrze bawią się kucharze?
59. Czy jaja JeHoWy mogą zdobić klub golfowy?
60. Czy ochrzczona wesz łonowa wie że stworzył ją JeHoWa?

Kto ma uszy do słuchania, odbył zaś do wydalania, kto ma oczy do patrzenia, czysty umysł do myślenia, ten się pyta tylko o to jak wygrzebać z gówna złoto.

Antoni Kozłowski

Wrzesień 1992

FRAGMENT WIĘKSZEJ CAŁOŚCI

motto: *Ruchome piaski Europy
Wschodniej nie są dla nas najbardziej istotną troską.*

- Henderson

Gdzieś daleko na wschodzie, albo gdzieś jeszcze dalej, tylko że na zachodzie żyją ludzie, dla których nie umieramy tak naprawdę nigdy. [Miękkość i ustępliwość przetrzyęcza to, co silne i twarde.]

Dla tych ludzi dusza-podświadomość nie umiera nigdy, tylko odradza się w kolejnych ciałach-wcieleniach, a rodzaj i rola nowego życia zależy od jakości poprzedniego. [Twardy jak skala - co za bzdura!] Człowiek, może odrodzić się nie tylko jako inny człowiek, ale nawet jako zwierzę. Dla nich możesz zostać w przyszłości robakiem lub demonem. Dziwne, prawda? [Byłem właśnie kimś takim i rozsypanem się. Zakończeniu takiego scenariusza jest nieuchronnie zniszczenie.]

To życie, co tu przeżywasz je teraz razem z nami, jest tylko fragmentem, tego dużego nieśmiertelnego, ponoć. [Nie ma takiej skały, której nie ogarnie woda - owa uległa i bezkształtna substancja, której możesz dotknąć, ale nie zdolasz uchwycić.]

Są wśród owych i tacy, co myślą, że wszyscy jesteśmy ze sobą związani, że wędrujemy poprzez te wcielenia, jak mówią, walcząc i kochając się ze sobą. Jedni są naszymi odwiecznymi wrogami, z którymi tocymy niekończące się boje, raz wygrywają oni raz my, zazwyczaj nikt. Innych kochając gonimy by złowić się na czas jakiś, zanim trzeba będzie znów rodzić się na nowo czy to tu, czy tam, zawsze razem. [Nie ma takiej skały, której nie ogarnie kiedyś duch, tego co nie znane. Dotyczy to zarówno życia, jak i śmierci.]

I mają wśród nich być i tacy, co chcą przerwać ten wspaniały korowód, po prostu uciec od tego. Mówią, że odrzucają cierpienie, jak nazywają życie. Zamiast próbować się spełnić tu i teraz, uciekają w góry swych myśli, gapiąc się w jeden punkt dokonują s@molobotomii, by wyłączyć się ze świata. W ten sposób tracąc ból i szczęście zarazem. Tę, jak dzień i noc, nierozrwalną parę. Zniwoleni pragnieniem odrzucenia wszelkich pragnień umierają w zastępy pozie zgorzknienia z fałszywym uśmiechem na nieruchomych ustach. [Nie znajdź dla siebie schronienia jeśli wciąż będę wykazywał jaki jestem wspaniały.]

„Ale czy to wszystko możliwe?” pytasz. Nie wiem - muszę odpowiedzieć, lecz chciałbym, by tak właśnie było. [Cudownym miejscem schronienia jest dla mnie strumień życia: byt cichy, delikatny i miękki, który - o dziwo - przetrzyęcza wszystko. (Przerobiony fragment jakiegoś tekstu.)]

S. Ebrion